

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

ŚWIĘTA TAJEMNICA



KRZYSZTOF KOZIOŁEK

ŚWIĘTA TAJEMNICA



[Kup książkę](#)

Redakcja i korekta
Bożena Hałas

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
www.kamilpietruczynik.pl

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2009
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2014

www.manufakturetekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie trzecie
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-943231-8-9

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

Pierwsze wydanie „Świętej tajemnicy”
miało miejsce w 2009 roku
nakładem Wydawnictwa Kropka

Żonie, za miłość...

*Odważni to tacy,
którzy realnie rozważywszy następstwa wyzwania,
możliwe powodzenie,
jak i związane z nim zagrożenie,
podejmują je.*

Z filmu „Kate i Leopold”

PROLOG

Dzień 1 (środa)

– Zamordowałem niewinne dziecko. Ale najpierw zrobiłem mu coś złego. Coś naprawdę bardzo złego – na dźwięk tych słów ksiądz Sambor ocknął się z drzemki, w którą zapadł zaledwie ułamek sekundy wcześniej. Szybko przetarł wierzchem dłoni zaspaną twarz, szczególnie mocno pocierając oczy. Bezwiednie ziewając, odwrócił głowę, by nieprzytomnym wzrokiem spojrzeć na kratkę konfesjonału oddzielającą go od penitenta. – O, przepraszam księdza, dawno nie byłem u spowiedzi i zapomniałem już, jak leci ta regułka. Może spróbuję jeszcze raz?

– Bardzo proszę – kolejne ziewnięcie wikarego. – Najmocniej przepraszam, ale chyba nie dosłyszałem, co mówiłeś, synu. Obawiam się, że zdarzyło mi się przysnąć.

– Szczęść Boże – zaczął mężczyzna ponownie.

– Daj Boże.

– Pobłogosław mi Ojczy, bo zgrzeszyłem. Zabiłem dziecko.

– Co? – para buchnęła księdzu z ust. Gdy sens wypowiedzianych przed chwilą słów dotarł do niego, poczuł, że robi mu się gorąco. I to mimo przejmującego zimna, jakie panowało w kościele. Chciał coś powiedzieć, spytać penitenta, czy może się przesłyszał, ale nie mógł wydusić z siebie nawet pół słowa. Głos uwiązł mu w gardle, a brewiarz trzymany w prawej dłoni upadł na podłogę. Zerknął na niego, jakby zastanawiając się, czy go podnieść, machinalnie wykonał nawet ruch ciałem, by to zrobić, powstrzymał się jednak i spojrzał w stronę drewnianej kratki oddzielającej go od mężczyzny. Zobaczył, iż ten przybliża twarz.

– Przecież powiedziałem wyraźnie: zabiłem dziecko – wycedził tonem, od którego cierpła skóra na plecach. I do tego ten spokój, z jakim to powiedział. – A potem je poćwiartowałem. Chce ksiądz zobaczyć główkę? Mam ją przy sobie, jest tutaj w torbie – mężczyzna podniósł mały dziecięcy plecak i zbliżył go do kratki.

– Słodki Jezu... – ksiądz Sambor odwrócił głowę, czując skurcz żołądka i żółć wlewającą się do przełyku, odruchowo przyłożył lewą dłoń do ust, aby nie zwymiotować.

– Jezus tu nic nie pomoże, proszę księdza.

*

Przez kolejnych kilkanaście wolno upływających sekund ksiądz Sambor głęboko oddychał, walcząc z odruchem wymiotnym. Nagle poczuł falę gorąca przewalającą się przez jego ciało. Oczy zaszyły mgłą, chwilę potem zrobiło mu się słabo. I to tak bardzo, że musiał przytrzymać się półki konfesjonau, na której zwykł kłaść brewiarz, aby nie zsunąć się z siedzenia. Wziął kolejny głęboki wdech, próbując opanować drżenie ciała. – Może to jakiś czubek? – pomyślał z nadzieją.

– Sądzi ksiądz, że jestem wariatem? – przerwał mu chłodny głos mężczyzny.

– Nie...

– Słyszał ksiądz o zaginięciu małego Adrianka? – spytał.

– Musiał ksiądz słyszeć. Całe miasto nie mówi o niczym innym.

Wikary nic nie odpowiedział.

– Chce ksiądz wiedzieć, co się stało z tym chłopcem? – zachichotał mężczyzna. – Mogę opowiedzieć ze szczegółami, co mu robiłem przez ostatnie godziny jego małego, kruchego życia. To jak, chce ksiądz?! – powtórzył pytanie, tym razem głosem pełnym agresji, niemal krzycząc.

Wikary wciąż milczał.

– To jak? – głos mężczyzny znów był miły, jakby należał do kelnera w ekskluzywnej restauracji, liczącego na suty napiwek. – Nic ksiądz nie powie? To co to jest za spowiedź?! – warknął.

Odpowiedziała mu cisza.

Ksiądz Sambor nabrał powietrza w płuca, głęboko odechnął, próbując podjąć decyzję, co robić. – O Adrianu słyszał już każdy, media mówiły o poszukiwaniach chłopca od wczorajszego popołudnia. Nie był to żaden dowód, że facet miał z tym coś wspólnego – myślał gorączkowo. – Więc...

– Ty popaprańcu! Zachciało ci się dowcipów? – wikary zerwał się na równe nogi, jednym ruchem ręki otwierając drzwiczki konfesjonału, aż te uderzyły o ścianę, wyskoczył na zewnątrz. Błyskawicznie odsłonił kotarę, za którą spodziewał się zobaczyć żartownisia.

W środku, w miejscu przeznaczonym dla penitenta, nie było nikogo. Rozejrzał się nerwowym ruchem wokół siebie, lustrując wszystkie trzy nawy kościoła. Żywej duszy. Ruszył w stronę głównych drzwi, jedynych, które były otwierane przed poranną mszą w tygodniu. Trzema szybkimi susami dotarł do nich, otworzył je, stawiając lewą nogę na pierwszym stopniu i w tym momencie stracił równowagę na oblodzonym schodzie. Fiknął w górę tak wysoko, że sutanna aż zakryła mu twarz. Spadając uderzył głową o stopień, mentalnie tracąc przytomność.

Kwadrans później, wciąż leżącego na stopniach przed wejściem do kościoła, znalazła go parafianka idąca na mszę. Wezwała pogotowie, które zabrało księdza Sambora do szpitala.

*

– Jestem w niebie? – wybełkotał, mrużąc powieki w odruchu obronnym. Prosto w twarz świeciła mu wielka lampa, ostre światło wwiercało się w oczy.

– Jeszcze nie – pielęgniarka uśmiechnęła się, kończąc owijanie głowy bandażem.

– Ale niewiele brakowało. Kilka centymetrów wyżej – stojący obok lekarz pokazał palcem na własnej głowie, które miejsce ma na myśli, drugą ręką wyłączając jednocześnie lampę – i trafiłby ksiądz do nieba.

Wikary, patrząc na medyka, bezwiednie dotknął palcami miejsca, w które się uderzył. – Sss... – westchnął, poczuwszy ból.

– Może tak boleć jeszcze przez kilka dni. Wyrznął ksiądz potylicą tak mocno w ten betonowy stopień, że to właściwie cud, iż skończyło się tylko na wstrząśnieniu mózgu – lekarz aż cmoknął.

– Wstrząśnieniu? – powtórzył wikary, wciąż będąc oszołomionym i rozglądając się niepewnie.

– To właśnie stąd te krasnoludki piłujące drewno w księdza głowie. Będą tam jeszcze długo siedzieć. Dlatego radzę leżeć spokojnie i zanadto się nie ruszać – powiedział.

– Leżeć? Przecież ja muszę do szkoły – podniósł się, próbując wstać. Zrobił to jednak za gwałtownie. Efekt był taki, że zrobiło mu się ciemno przed oczami, zachwiał się i gdyby nie pomoc pielęgniarki, jak nic runąłby na podłogę.

– Pan doktor powiedział wyraźnie: leżeć spokojnie. Za chwilę przewieziemy księdza na oddział – powiedziała z uśmiechem, kładąc go z powrotem na łóżku. Nachyliła się nad pacjentem, próbując poprawić poduszkę.

– Ale ja nie mogę leżeć. Ja muszę do szkoły... – próbował protestować, kątem oka mimowolnie zerkając w dekolt jej fartucha. Niby niewielki, ale wystarczająco duży, aby jego oczom ukazał się rowek między dwiema pełnymi piersiami.

– Do szkoły... – westchnął.

– Przepisowo powinienem zostawić księdza na oddziale na trzydniową obserwację – lekarz wtrącił się do rozmowy, do-

konując jednocześnie zamaszystego wpisu do karty pacjenta. – Ale umówmy się tak: podam teraz księdzu mieszankę środka przeciwbólowego i nasennego, po której ksiądz zaśnie i obudzi się za siedem, osiem godzin. Jeśli do tego czasu krasnoludki przestaną piłować, puszcze księdza do domu.

– A jeśli nie przestaną? – zmarszczył brwi.

– To zatrzymam tu księdza co najmniej do jutra – lekarz rozłożył ręce w geście bezradności. – Jakoś ksiądz to wytrzyma. Zresztą, dziś dyżuruje siostra Barbara – wskazał palcem na pielęgniarkę – której obecność ma niewiarygodnie leczniczy wpływ na naszych pacjentów. Przynajmniej jeśli chodzi o jej męską część – uśmiechnął się szeroko. – Jak do tej pory gronu lekarskiemu naszego szpitala nie udało się ustalić, jakimi środkami farmakologicznymi siostra Barbara to robi. Niedawno kolega anestezjolog ogłosił śmiałą koncepcję, kładącą nacisk na pewne prymitywne formy męskiej aktywności – uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. – Można ją nawet spróbować wyjaśnić naukowo, aczkolwiek wpierw musielibyśmy udokumentować poszczególne przypadki błyskawicznego powrotu do zdrowia pacjentów. A na to, niestety, sama zainteresowana nie wyraziła zgody – mrugnął znacząco, uchylając się przed kuksańcem ze strony pielęgniarki.

Tego jednak wikary już nie widział, zasnąwszy kilka sekund wcześniej.

Wyznanie

ROZDZIAŁ 1

Środek nasenny działał dłużej niż zapowiedział lekarz. Kiedy ksiądz Sambor się obudził, dochodziła 18.00. Zbadany przez innego medyka, który zmienił poprzedniego na wieczornym dyżurze, solidnie zaopatrzony medycznie przez siostrę Barbarę – czyli z głową obandażowaną co najmniej tak mocno, jakby miała się za chwilę urwać z szyi i potoczyć na podłogę – został zwolniony do domu. Zadzwoił z telefonu komórkowego do swojego kolegi księdza z sąsiedniej parafii i poprosił o podwiezienie. Gdy znalazł się na plebanii, było już po 20.00. Porozmawiał chwilę z proboszczem, ten spytał o stan jego zdrowia, ale mimo zapewnień wikarego, że czuje się już dobrze, nakazał mu, aby nazajutrz rano pospał dłużej i nie wstawał na poranną mszę. Obiecawszy to solennie zarówno proboszczowi, jak i samemu sobie, skierował się do swojego pokoju i, nie biorąc prysznica, położył się spać.

*

Dzień 2 (czwartek)

Nazajutrz obudził go budzik w telefonie i piłujące głowę krasnoludki, które najwyraźniej nie zamierzały dać mu spokoju. Podniósł się, spojrzął na zegarek, dochodziła 7.00. Sięgnął po buteleczkę z tabletkami przeciwbólowymi otrzymanymi od siostry Barbary. Łyknął jedną, potem drugą, uśmiechając się pod nosem na wspomnienie pielęgniarki i jej kształtnych piersi.

*

Pół godziny później był już ogolony i po śniadaniu. Zabrał teczkę i rażnym krokiem ruszył do oddalonego o kilka

minut drogi liceum, w którym uczuł religii. Zdążył zaledwie wyjść na chodnik i zrobić kilka kroków, gdy pierwsza z napotkanych osób powitała go lekkim skinieniem głowy i szerokim uśmiechem. Takim samym jak kolejnych kilkunastu przechodniów. Zastanawiając się, co znaczą owe uśmieszki, zatrzymał się przed światłami na ulicy Westerplatte. Kiedy zapaliło się zielone, szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę. Idąc obok okien wystawowych dopiero co wybudowanej galerii handlowej, spojrzął przelotnie na jedno z nich. W szybie zauważył dziwnie wyglądającego gościa: w długiej czarnej sukni i z białym turbanem na głowie. Zdumiony obejrzał się za siebie, szukając wzrokiem zauważonej przed momentem postaci. Nikogo nie spostrzegł. Odwrócił się i dopiero wtedy dotarło do niego, iż właścicielem lustrzanego odbicia jest on sam.

– To stąd te uśmieszki – westchnął. – Nieźle się ten dzień zaczyna...

Gdyby wiedział, co go czeka w szkole, jak nic wziąłby wolne.

*

Klasa trzecia o profilu humanistycznym – krócej mówiąc: trzecia „c” – należała do najlepszych w liceum. Nie bez przyczyny. Cała osiemnastka chodzących do niej uczennic i uczniów wykazywała nadprzeciętne umiejętności. Większość legitymowała się ilorazem inteligencji grubo ponad średnią. Każdy, bez wyjątku, wiedział doskonale, czego oczekuje od życia, a co ważniejsze, dysponował także wiedzą, jak to osiągnąć. I to zaledwie w wieku dziewiętnastu lat! Ale czy mogłoby być inaczej, skoro do tej szkoły dostawali się tylko najlepsi z najlepszych w całym województwie?

Niestety, dla księdza Sambora, i nauczycieli innych przedmiotów zresztą też, uczniowie tej szkoły tak jak wykazywali się w nauce, tak też byli mocni w gębie. A klasa trzecia „c” należała do ścisłej czołówki, jeśli chodzi o wygadanie. Dlate-

go na religii z ich udziałem przerobienie materiału należało do rzadkości.

– Są pytania? – wikary zaczął lekcję w typowy dla siebie sposób, tuż po sprawdzeniu listy obecności.

– Skąd ksiądz wie, że Bóg istnieje? Nigdy nie miał ksiądz wątpliwości co do tego?

– Paczkowska – spojrzał wymownie na uczennicę, która zadała pytanie – uczę was religii drugi rok. Przez te prawie dwa lata, na początku każdej lekcji, zadajesz mi te same dwa pytania – zerknął do notatnika, przez moment wertując kartki. – Dziś zrobiłaś to już dziewięćdziesiąty ósmy raz.

– Jeszcze dwa i będzie okrągły jubileusz! – rzucił ktoś z tyłu sali.

– Zadaję księdzu wciąż te same pytania, bo nigdy mi na nie ksiądz nie odpowiedział – zauważyła celnie Paczkowska.

– Jak to nie odpowiedziałem? – uniósł brwi w geście zdziwienia. – Tłumaczyłem ci sto razy, że wierzę w Boga i nigdy nie miałem co do tego nawet krzty wątpliwości – wycodził, szczególnie mocno akcentując ostatnie dwa słowa.

– Małe sprostowanie, proszę księdza – odezwał się ten sam głos z tyłu sali. – Tłumaczył to ksiądz Paczkowskiej dziewięćdziesiąt siedem razy, nie sto.

– Owszem, raczył ksiądz wspomnieć o tym, iż opiera swoją wiarę na dogmacie istnienia nadprzyrodzonego Stwórcy – Paczkowska też zaakcentowała dwa ostatnie słowa. – Jednak pragnę zauważyć, że użył ksiądz argumentu opartego jedynie na wierze, czyli czynniku nie dającym się empirycznie potwierdzić. Tym samym trudno taką hipotezę uznać za dowiedzioną. Co oznacza ni mniej, ni więcej to, iż dla mnie księdza odpowiedź jest nic nie warta. Dowody. Żądam dowodów!

– Dowód to masz osobisty, w portfelu – syknął wikary. – Czegoś takiego jak wiara naukowo udowodnić się nie da. To zupełnie tak jak z miłością dwojga ludzi. W tym przy-

padku też chciałybyś naukowo potwierdzonych dowodów? Inaczej w nią nie uwierzysz?

– Proszę księdza – Paczkowska uśmiechnęła się ironicznie – naukowcy już dawno zajęli się miłością i rozłożyli ją na czynniki pierwsze. Miłość to nic innego, jak pewna reakcja chemiczna. Weźmy dla przykładu wymianę płynów ustrojowych...

– Seks! – krzyknął ktoś. – Wreszcie zaczęliśmy rozmowę na konkretny temat. Paczkowska, ty już swoje nagadałaś, teraz kolej na normalne pytania.

– Właśnie. Księża ślubują czystość, prawda? – spytał chłopak siedzący w trzeciej ławce, o nazwisku Jędzowaty.

– Tak – odpowiedział ksiądz Sambor, wzdychając. Nie miał już żadnych wątpliwości, w jaką stronę zmierza dyskusja.

– Czyli, że nie mogą, no... tego tam – Jędzowaty wykonał ruch dłońmi imitujący stosunek seksualny.

– Nie mogą – odparł wikary.

– A zanim ksiądz został księdzem, uprawiał seks? – Jędzowaty wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To moja prywatna sprawa – obruszył się wikary. – Następnie pytanie.

– To może tak – Jędzowaty uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Jest ksiądz kilka lat po święceniach, czyli, zgodnie ze ślubami czystości, przez długi czas nie uprawiał seksu. Nie brakuje tego księdzu?

– A któremu facetowi tego nie brakuje? – odpowiedział wikary pytaniem na pytanie. – Ze mną jest tak, jak z każdym innym mężczyzną...

– Gejem też? – wypalił Jędzowaty, wzbudzając wybuch śmiechu pozostałej części klasy.

– Z tego co mi wiadomo, to także geje uprawiają seks. Chyba że masz jakieś inne informacje, co, Jędzowaty? – spytał wikary ironicznie. – Wróćmy do tematu. Ksiądz, oprócz tego,

że jest księdzem, jest też mężczyzną, który czasami odczuwa pociąg seksualny.

– Czasami? W jakim ksiądz żyje świecie? – burknęła blondynka w drugiej ławce. – Większość mężczyzn nie potrafi myśleć o niczym innym. Gdyby mogli, wtykaliby swoje penisy w każdą dziurę.

– Byleby tylko była odpowiedniej wielkości – zachichotała jej koleżanka z ławki, po czym obie przybiły piątkę.

– Dziewczyny... Trochę ogłady – wikary spojrzał na nie gniewnym wzrokiem, marszcząc przy tym brwi. – Macie w sobie tyle subtelności, co zimowy kożuch latem.

– Nie odpowiedział ksiądz na pytanie! – naciskał ktoś z tylnych rzędów.

– A na czym skończyłem?

– Że ksiądz też jest mężczyzną, który odczuwa pociąg seksualny – przypomniał ktoś.

– Właśnie. Ksiądz jest normalnym mężczyzną, który odczuwa pociąg seksualny. Jest też jednak coś takiego jak silna wola, która sprawia, że nie każdą potrzebę musimy realizować. Napięcie seksualne można rozładować także na inne sposoby, niekoniecznie przez uprawianie seksu...

– Ręcznie! – po tej uwadze Jędzowatego wszyscy znowu wybuchli śmiechem.

– Jędzowaty? – spytał ksiądz.

– Tak?

– Z łaski swojej zachowaj te cenne uwagi na później, do brze? – rzekł z naciskiem wikary.

– Ja tylko chciałem podać przykład sposobu na rozładowywanie napięcia seksualnego. Zresztą akurat ten jest powszechnie znany i masowo stosowany. Technika jest wybitnie prosta – Jędzowaty uśmiechnął się, wykonując prawą ręką wymowny gest, co oczywiście spotkało się z aplauzem męskiej części klasy.

– Jesteś obleśny – prychnęła blondynka, marszcząc nos.
– Jeśli wciąż będziecie mi przerywać, to nigdy nie odpowiem na to pytanie – wikary zawiesił głos. – Chciałem tylko powiedzieć, że napięcie seksualne można w doskonały sposób rozładować chociażby na siłowni.

– Najlepiej z instruktorką – padło z końca sali. Ksiądz spojrział groźnie w tamtą stronę, ale nikt nie przyznał się do autorstwa tej myśli.

– Siłownia to raz – mówił dalej wikary. – Drugi sposób to codzienna modlitwa o silną wolę i umiejętność powstrzymywania się od uciech cielesnych.

– No nie... Niech ksiądz nie opowiada głodnych kawałków – wypaliła koleżanka blondynki. – To nie jest podstawówka, a my nie jesteśmy gówniarzami. Może ujmę to tak: jest lato, niedzielna msza, ksiądz rozdaje komunię, nagle do stopnia ołtarza podchodzi ekstralaska z głębokim dekoltem. Gapi się ksiądz na jej falujące piersi. Staje księdzu czy nie?

Salą wstrząsnęły brawa, chłopcy zaczęli gwizdać. Wikary milczał.

– Czekamy na odpowiedź, proszę księdza – ponowiła niecierpliwie koleżanka blondynki.

Wikary wciąż się nie odzywał. Nagle przed jego oczami jak żywe pojawiły się pełne piersi siostry Barbary i rowek między nimi. Poczuł, jak policzki oblewają mu rumieńce. W tym momencie rozległ się dzwonek.

– Koniec lekcji. Odpowiedź poznać za tydzień – zapowiedział wikary z wyraźną ulgą.

– Nieee!!!

– Zawsze skrupulatnie przestrzegacie dzwonka na przerwę. Ostatnio nawet kolega Jędzowaty pokusił się o napisanie na tablicy czegoś, co można by określić mianem manifestu klasowego. Jak to szło? „Dzwonek – rzecz święta. Przerwa między lekcjami to niezbywalne prawo każdej jednostki”. Jakoś

tak, prawda? – wikary spojrzął na klasę. – Nie śmiem więc zabierać wam ani sekundy czasu wolnego, który jest przecież waszym niezbywalnym prawem jako jednostki. A propos. Zanim kolega Jędzowaty zdecyduje się na karierę polityczną, powinien sprawdzić w słowniku wyrazów trudnych słowo „niezbywalne”. Oznacza ono coś, czego nie można nikomu zabrać i czego on sam też się nie może zrzec. Tak więc widzimy się za tydzień. A teraz wynocha, zamykam klasę!

Choć niektórzy nadal protestowali, domagając się odpowiedzi na pytanie swojej koleżanki, większość ruszyła do drzwi, mrucząc przy okazji pod nosem. Wikary zabrał dziennik, przytknął jedyne uchylone okno, zgasił światło, zamknął drzwi na klucz i ruszył różnym krokiem do pokoju nauczycielskiego. Lekcja z trzecią „c” niemal zawsze oznaczała wchodzenie na śliskie i trudne tematy. Ale był też plus: była najgorszą, jaką miał w czwartek. A to oznaczało, że każda kolejna tego dnia, w porównaniu do tej właśnie zakończonej, była niemal jak relaks w aquaparku.

ROZDZIAŁ 2

Pozostałe zajęcia w szkole minęły jak z bicia strzelił. Wróciwszy na plebanie, zjadł obiad, po czym uciął sobie drzemkę. Kiedy się obudził, dochodziła 17.30, wieczorna msza zaczynała się za pół godziny. Był spóźniony. Zerwał się z łóżka, w tym momencie zakręciło mu się w głowie.

– Znowu te krasnoludki – potarł dłonią czoło, szukając tabletek przeciwbólowych. Gdy je znalazł, otworzył buteleczkę. W środku była tylko jedna pastylka. Połknął ją, zapiał sutanę i, masując palcami skronie, poszedł do kościoła.

Teoretycznie środek przeciwbólowy powinien zacząć działać po dwudziestu minutach, góra po pół godzinie.

Ale najwyraźniej tym razem teoria kolejny raz przegrywała z praktyką. Kiedy w kościele rozległ się dzwonek oznaczający rozpoczęcie mszy, głowa księdza Sambora niemal eksplodowała. Jedyne, nad czym mógł się skoncentrować, było to, jak opanować ból i odprawić mszę. Zrobił to więc w iście rekordowym czasie. Na całe szczęście wiernych nie było zbyt wielu, więc i rozdawanie komunii poszło błyskawicznie. Odprawienie mszy zajęło mu osiemnaście minut. Rekord.

Wracając na plebanię, wolno wchodził po schodach na drugie piętro, czuł, jak przy każdym kroku krew pulsuje mu w żyłach na skroniach, jeszcze bardziej potęgując doskwierający ból. Zanim wszedł do swojego pokoju, najpierw poszedł do kuchni. Z zamrażarki wyciągnął porcję kotletów schabowych, owinął w cienki ręcznik, tak przygotowany kompres położył na głowę. Po kwadransie kotlety się co prawda roztopiły, ale ból mocno zelżał. Położył kompres na stoliku, sięgnął po komórkę, wybrał numer kolegi księdza, który dzień wcześniej zabrał go ze szpitala.

– To co, jedziemy na basenik? – zaczął. – Jacuzzi, sauna...

– Nie dam rady – padło z drugiej strony słuchawki.

– Co?! Przecież się umawialiśmy.

– Nie dam rady. Coś się dzisiaj wydarzyło w szkole.

– Co? – przerwał zły, że kolega najwyraźniej nie zechce mu towarzyszyć w wypadzie. – Wuefistka znowu się do ciebie dobierała? – zaśmiał się. Wuefistka miała sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, nikt nie wiedział, ile ważyła, ale patrząc na to, jak prezentowała się jej sylwetka, nie sposób było szacować wagi na mniej niż sto kilogramów. Do tego miała złamany nos i włosy pod pachami bujne jak amazońska dżungla.

– Zginęło dziecko.

– Dziecko? – powtórzył wikary bezwiednie.
– Musisz powtarzać co drugie moje słowo? – kolega za-
zgrzytał zębami. – Zginęło dziecko, chłopiec z drugiej klasy.
Kilka dni temu, pół kilometra od jego domu, policja znalaz-
ła tornister. Podejrzewali, że został porwany.

– Porwany?
– Porwany, do jasnej niespodziewanej! Przecież powie-
działem!

– Nie denerwuj się.
– Nie denerwuj? – niemal krzyknął. – Przez cały ten czas
wszyscy mieli nadzieję, że porywacze się odezwą i zażądają
okupu. Policja wręcz była pewna takiego finału sprawy, bo
rodzice chłopca są zamożni.

– Czekaj, czekaj – zamyślił się. – Ja chyba słyszałem o tej
sprawie w telewizji. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, jak
ten chłopiec ma na imię. Czekaj, czekaj. Ty powiedziałeś, że
zginęło czy że zaginęło?

– Dwie godziny temu ktoś znalazł jego ciało. Było tak
zmasakrowane, że policja nie dopuściła do niego rodzi-
ców.

– Boże święty...
– Samborze... Adrian chodził do drugiej „c”. Jutro mam
z nimi lekcję. Co ja im powiem? Jak wytłumaczyć to, co stało
się z ich kolegą? – pytał łamiącym się głosem.

Ale wikary już tego nie słyszał. Gdy padło imię chłopca,
nagle przed oczami stanęła mu scena z konfesjonału. Przed
oczami przesuwwały się obrazy: jak ocknął się z drzemki, za-
mazanej twarzy penitenta, swojej złości, tego jak wyskoczył
z konfesjonału, szukając żartownisia, na koniec upadku, po
którym stracił przytomność.

A więc to nie był głupi dowcip. To się stało naprawdę. Ktoś
zamordował tego chłopca. A potem przyszedł do niego się
z tego wypowiadać. Słodki Jezu!

„Jezus tu nic nie pomoże, proszę księdza” – te słowa dudniły mu w głowie niczym echo w studni.

Telefon wypadł mu z ręki i roztrzaskał się o podłogę.

*

Usiadł na tapczanie. Bezwiednym ruchem dłoni pozbiierał z podłogi rozrzucone części komórki, położył obok na kocu, tępo się w nie wpatrując. Zaczął dopasowywać poszczególne elementy, gdy nagle zdał sobie sprawę z bezcelowości tego, co robi.

„Słyszał ksiądz może o zaginięciu małego Adrianka? Musiał ksiądz słyszeć. Całe miasto nie mówi o niczym innym.” – dźwięczało mu w uszach. I co teraz? Co zrobić? Zagryzł palce, próbując opanować gonitwę myśli. Z tego wszystkiego zaczęła go na powrót boleć głowa.

– Muszę iść z tym na policję. Może uda się sporządzić portret pamięciowy. Kratka konfesjonału zasłaniała co prawda jego twarz, ale coś musiałem zobaczyć – myślał gorączkowo. Tak jest, trzeba jak najszybciej dać znać śledczym o wszystkim, co wie! To może naprowadzić ich na ślad mordercy. W takich sprawach jak ta liczy się każda godzina. Musi natychmiast zadzwonić na policję. Rozejrzał się wokół, szukając komórki. Jego wzrok padł na koc i leżące na nim części rozbitego telefonu.

– Kratka konfesjonału? – ta myśl była jak błyskawica. Boże drogi, pójdzie na policję nie wchodzi w grę! To przecież była spowiedź, którą chroni tajemnica. Uświadomił sobie, że nie może policji powtórzyć nawet jednego słowa, które padło podczas tamtej rozmowy. Nie może zdradzić, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. Ba, nie powinien sam o tym myśleć, roztrząsając, co mu ten człowiek powiedział. Zgodnie z prawem kanonicznym w momencie zakończenia spowiedzi należało przestać o niej myśleć.

– Muszę o tym zapomnieć, jakby tego nie było – westchnął głęboko, chowając głowę w dłoniach.

*

Im bardziej próbował nie myśleć o spowiedzi, tym trudniej mu to przychodziło. Czuł pulsujące skronie, ból głowy zaczynał promieniować na resztę ciała. Westchnął, biorąc głęboki wdech. Coś musi zrobić.

Podczas studiów w seminarium profesorowie dużo i chętnie mówili o spowiedzi. Pamiętał, jak któregoś dnia – za oknem padał wtedy gęsty śnieg – jeden z kolegów spytał wykładowcę, czy tajemnica spowiedzi obowiązuje księdza także wtedy, gdy wysłucha mordercy.

– Bezwarunkowo – odpowiedział ksiądz profesor. – Każdy, kto przyjdzie do konfesjonału wypowiadać się przed Panem ze swoich słabości i grzechów, ma niezbywalne prawo do tego, aby to, co powie kapłanowi, nigdy nie ujrzało światła dziennego. Tajemnica sakramentalna jest nienaruszalna, a to znaczy, że nikt nie może od niej dyspensować. Nikt, nawet sam Ojciec Święty.

– I nie ma tu znaczenia, jakiego okropnego czynu dokonał penitent? – padło kolejne pytanie.

– Nie. Tajemnica spowiedzi dotyczy zarówno tego, kto wezwał niepotrzebnie imienia Pana Boga; tego, kto zdradził żonę; jak i tego, kto zabił człowieka – odpowiedział wtedy ksiądz profesor. – Pamiętajcie też, że tajemnica ta dotyczy nie tylko grzechów, z których człowiek się spowiada, ale wszystkiego, co wam podczas tej spowiedzi powie. Wszystkiego.

Przed oczami księdza Sambora pojawiały się kolejne wspomnienia z tamtego wykładu. Dyskusja była żarliwa jak rzadko kiedy. W pewnym momencie ksiądz profesor zaczął się nawet śmiać, zarzucając swoim słuchaczom, że próbują znaleźć wyjątek, którego nie ma i nie będzie.

– Każdy penitent ma prawo do zachowania tego, co wam powie w absolutnej tajemnicy. Co więcej, nie możecie nawet, spotykając go twarzą w twarz poza konfesjonałem, dać mu do zrozumienia w jakikolwiek, choćby najmniejszy sposób, że coś pamiętacie. – W uszach dźwięczały mu słowa wykładowcy. – Pamiętajcie, tajemnica spowiedzi jest absolutna!

Wikary poczuł, jak po czole płynie mu strużka potu. Wytarł ją rękawem sutanny, zastanawiając się, co czynić dalej.

Pierwsze, co zrobił, to sięgnął po Kodeks prawa kanonicznego. Postanowił jeszcze raz sprawdzić wytyczne dotyczące sakramentu. Ksiądz profesor mówił na zajęciach o mordercy, ale przecież nie wspominał o sytuacji, kiedy ktoś zabija dziecko. – Może to jest ten wyjątek, który tak próbowaliśmy wtedy znaleźć? – zamyślił się. Chwilę wertował spis treści, po czym znalazł interesujący go kanon 983, punkt 1, mówiący o tajemnicy spowiedzi.

„Tajemnica sakramentalna jest nienaruszalna; dlatego nie wolno spowiednikowi słowami lub w jakikolwiek inny sposób i dla jakiegokolwiek przyczyny w czymkolwiek zdradzić penitenta.” Dalej była mowa o tym, że tajemnica ta dotyczy też tłumacza, a także każdego innego człowieka, który w jakikolwiek sposób zdobył ze spowiedzi wiadomości o grzechach. – Świetnie, coraz lepiej. Cały czas mam pod górkę – zagryzł wargi w poczuciu bezsilności. Ani słowa o mordercach dzieci. Westchnął głęboko, zatrzęsawszy księgę, odłożył ją na półkę. Zaczął chodzić po pokoju, zastanawiając się, gdzie szukać potrzebnych informacji.

Internet! Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Włączył komputer, otworzył przeglądarkę, wpisał „tajemnica spowiedzi.” Wynik wyszukiwania – prawie trzysta stron – napawał entuzjazmem.

Zaczął sprawdzać poszczególne domeny. Na większości informacji były krótkie i lakoniczne, z reguły zawierały cytaty

z prawa kanonicznego, który już dobrze znał. Po pół godziny surfowania wszedł na stronę archidiecezji wrocławskiej. Jego oczom ukazał się długi artykuł o sakramencie pokuty. Zaczął zjeżdżać kursorem w dół, rzucając okiem na wytłuszczone tytuły akapitów. „Bezwzględne zachowanie tajemnicy spowiedzi”.

– Jest! – aż krzyknął z radości. Przeczytanie tekstu zajęło mu minutę. Niedobrze. „Spowiednik nie może w żaden sposób korzystać z wiadomości, które zdobył z racji spowiedzi, powodujących uciążliwość dla penitenta, nawet jeśli wykluczy wszelkie niebezpieczeństwo wyjawienia osoby.” Dalej było o tym, że tajemnicy trzeba dotrzymać niezależnie od tego, czy ktoś otrzymał rozgrzeszenie, czy nie. I o czymś takim jak „pośrednia zdrada tajemnicy”, która miała miejsce, gdy po spowiedzi zmieniały się codzienne i osobiste relacje między spowiednikiem i penitentem. – I co jeszcze? – wzdrygnął się na myśl, że gdyby teraz morderca przyszedł do niego w odwiedziny, musiałby mu jakby nigdy nic... – Zaproponować herbatę? – wałnął pięścią w stół.

Przeczytał artykuł jeszcze raz, wolniej. „Zobowiązanie do zachowania tajemnicy spowiedzi jest aktualne także po śmierci penitenta.” Nabrał głęboko powietrza w płuca, pozwoli wypuścić je, założywszy ręce za głowę i odchyliwszy się do tyłu.

Czyli nic z tego. Żadnej informacji, jaką zdobył podczas wizyty mordercy w konfesjonale, nie mógł wykorzystać. Ani teraz, ani potem.

*

Tego wieczora nie mógł zasnąć. Właściwie nawet się z tego powodu ucieszył, bo gdy tylko zamykał powieki, przed oczami stawała scena z konfesjonału. Za każdym razem obraz był zamazany tak, że ledwie rozpoznawał znane sobie przedmioty. Najbardziej niewyraźna była postać penitenta. Po trzech

godzinach rzucania się w łóżku, wypiciu czterech szklanek wody udało mu się zasnąć.

Po godzinie niespokojnego snu obudził się zlany potem. Zmienił górę od piżamy, całą moką, sięgnął po szklankę stojącą, jak co noc, tuż obok na stoliku. Zrobił to jednak na tyle niezdarnie, że zamiast chwycić ją w dłoń, trącił. Naczynie się przewróciło. Patrzył tępo w ciekącą wodę, jak zahipnotyzowany. Zdał sobie bowiem nagle sprawę z tego, że nawet gdyby nie obowiązywała go tajemnica spowiedzi, sytuacja byłaby tak samo beznadziejna. Słyszał bowiem tylko głos penitenta, nie widział jego sylwetki, nie mówiąc już o rysach twarzy.

Z tą świadomością, która sprawiła, że, paradoksalnie, było mu nieco łatwiej na duszy, gdyż zdał sobie sprawę z własnej bezsilności, położył się na powrót do łóżka i zasnął niemal natychmiast.

ROZDZIAŁ 3

Dzień 3 (piątek)

– Ksiądz to miał chyba ciężką noc. Ciekawe, kto księdza tak wymęczył? I jaka ta sutanna pognieciona – stwierdziła Beatrycze Stawska typowym dla siebie, na wskroś złośliwym tonem, gdy tylko wikary przekroczył próg pokoju nauczycielskiego.

Wydarzenia dnia poprzedniego tak go rozkojarzyły, że zapomniał o nastawieniu budzika. Efekt był taki, że zamiast wstać o 6.20, obudził się kwadrans przed ósmą. Nie zdążył zjeść śniadania, nie mówiąc o ogoleniu się. Chwycił tylko teczkę z konspektami dzisiejszych lekcji i wypadł z plebanii, zdecydowany biec, byle tylko nie spóźnić się na pierwszą lekcję. W drzwiach wejściowych zdążył się jeszcze natknąć

na proboszcza, który słowem nie skomentował jego nieobecności na porannej mszy. Nie musiał, grymas zdobiący jego twarz mówił sam za siebie. Za to wikary wykorzystał spotkanie z proboszczem i spytał go o tajemnicę spowiedzi. Usłyszał dokładnie taką samą wykładnię, jaką znalazł dzień wcześniej w Internecie.

– Bo ja... – zaczął tłumaczyć ksiądz Sambor.

– Chociaż nie powiem, z tym dwudniowym zarostem jest księdzu o wiele bardziej do twarzy – przerwała mu Stawska, uśmiechając się szeroko.

– Pani znowu zaczyna z tymi swoimi grubiańskimi uwagami? Wstydziłaby się pani! – dopiero teraz wikary zauważył obecność Marii Piecuch, nauczycielki historii.

– A czego miałabym się wstydzić? – odcięła się Stawska takim tonem, jakby faktycznie uwaga koleżanki była nie na miejscu. – Ksiądz to przecież mężczyzna jak każdy inny. Jeśli się nie mylę, to są pani słowa?

Policzki Piecuch oblał rumieniec, zaczerpnęła powietrza, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu.

– A może pani tego nie pamięta? – ciągnęła Stawska, wyraźnie upajając się sytuacją, w jakiej znalazła się historyczka.

– Była pani uprzejma podzielić się z gronem pedagogicznym tą cenną uwagą trzy tygodnie temu podczas integracyjnego wyjazdu w Góry Izerskie. Jeśli mnie pamięć nie myli, było to tuż po tym, jak nasza wuefistka wypowiedziała się w temacie pośladków księdza Sambora.

– Jak pani śmie w obecności księdza wikarego mówić o takich rzeczach! – Piecuch aż kipiała z gniewu.

– O jakich rzeczach? – Stawska udawała zdziwioną.

– O takich! – Piecuch tupnęła nogą.

– Mógłbym coś powiedzieć? – wtrącił nieśmiało wikary, speszony tematem toczącej się wymiany zdań.

– W końcu panie, jeśli dobrze słyszę, wypowiadają się w kwestii bezpośrednio dotyczącej mojej osoby.

– Oczywiście – odpowiedziała natychmiast Piecuch. – Ale zanim ksiądz to zrobi, chciałam księdza najmocniej przeprosić za zachowanie mojej koleżanki. Zachowanie kompletnie nieodpowiedzialne.

– Wypraszam sobie – obruszyła się Stawska. – Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek przepraszał kogokolwiek w moim imieniu.

– A więc pani chce sama przeprosić księdza wikarego za tę grubiańską uwagę? – zdziwiła się historyczka. – Jestem zaskoczona pani postawą, oczywiście pozytywnie. Ośmielam się niniejszym wyrazić moją absolutną aprobatę.

– Nie sędzę – burknęła Stawska. – Nie zamierzam księdza przepraszać, bo nie uważam, żebym powiedziała coś niestosownego. – Wzięła ze stołu dziennik lekcyjny, włożyła go pod pachę i wyszła z pokoju.

*

– Jak ona mogła? – spytała Piecuch ni to księdza, ni to siebie.

– Nie zaprzatajmy sobie tym głowy – machnął ręką. – Pani Mario, mam do pani pytanie.

– Tak, proszę księdza.

– Na pewno słyszała pani o tym potwornym morderstwie małego chłopca...

– Adrianka? – weszła mu w słowo.

– Tak – pokiwał głową. – Wie pani, chciałbym się dowiedzieć nieco więcej o tej zbrodni niż mówili w telewizji czy pisali w gazecie – myśl, aby spytać o to historyczkę przyszłą w tej chwili. Nagły przebłysk podświadomości uświadomił mu, że o ile nie może nawet w myślach wracać do tamtej spowiedzi ani wykorzystywać żadnej z informacji zdobytej

przy okazji wizyty penitenta w konfesjonale, o tyle może przecież dowiedzieć się nieco więcej o samym chłopcu i zbrodni, jaką na nim popełniono. Tego nikt mu nie mógł zabronić, a tajemnica spowiedzi nie miała tu żadnej siły sprawczej.

– Dlaczego chce ksiądz to wiedzieć? – spytała, ale nie odpowiedział. – Proszę księdza, dobrze się ksiądz czuje?

– Słucham? – ocknął się.

– Pytałam, czy się ksiądz dobrze czuje. Bo przez dłuższą chwilę był ksiądz jakby nieobecny.

– Zamyśliłem się. Mam ostatnio mnóstwo rzeczy na głowie

– westchnął. – Ale pani mnie o coś pytała, prawda?

– Pytałam, dlaczego jest ksiądz zainteresowany tym chłopcem. On nie chodził do naszej szkoły. Nie należał też do naszej parafii.

– To... – zawahał się na moment – uczeń księdza Damiana z sąsiedniej parafii, mojego dobrego kolegi. Bardzo przeżywa tę tragedię. Nie wiem, jak mógłbym mu pomóc. Pomyślałem, że jeśli dowiem się czegoś więcej o tym okropnym zdarzeniu, to...

– Najmocniej księdza przepraszam, że byłam taka obcesowa – Piecuch przyłożyła obie dłonie do policzków. – Nie powinnam pytać.

– Nic się nie stało, pani Mario. Nic się nie stało – uspokajał ją. – To jak, może mi pani pomóc?

– Chyba tak – zamyśliła się. – Mój kuzyn jest dziennikarzem śledczym w „Głosie Naszego Miasta”. Jeśli ktokolwiek będzie wiedział coś więcej na temat tego zabójstwa, to na pewno on.

– Ale ja już czytałem o tym morderstwie w gazetach. Artykuł pani kuzyna pewnie też – skrzywił się. – Mówiłem pani, że chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej niż pisali dziennikarze.

– Proszę księdza, to, że czytał ksiądz artykuł mojego kuzyna, w niczym nie przeszkadza. Bardzo rzadko zdarza się, aby dziennikarze wszystkie zdobyte przez siebie informacje opublikowali w pierwszym tekście. Z reguły trzymają niektóre co pikantniejsze szczegóły na później. A zdarza się nawet, że o niektórych nie piszą w ogóle, zachowując je w tajemnicy.

– Dlaczego?

– Bo mają taką umowę z policją, ze swoimi informatorami. Nie wszystko nadaje się do druku, proszę księdza.

– Myśli pani, że ten kuzyn mógłby mi powiedzieć coś więcej? – spytał zaciekawiony.

– Jeśli nie on, to na pewno żaden inny dziennikarz w tym mieście. Mój kuzyn jest tu najlepszy w branży.

*

Gdy tylko wrócił ze szkoły na plebanię i zjadł obiad, zadzwonił pod numer podany przez historyczkę. Niestety, telefon dziennikarza był wyłączony. W kolejnej godzinie próbował kilkakrotnie połączenia, aby za każdym razem usłyszeć: „Abonent ma wyłączony telefon lub przebywa poza zasięgiem sieci. Proszę się rozłączyć i spróbować później.”

Zrezygnowany wyłączył komórkę, zostawił ją na stoliku i poszedł do kościoła odprawić mszę. Wcześniej, jak zwykle, usiadł w konfesjonale, aby wysłuchać spowiedzi wiernych. W tygodniu, przed wieczorną mszą, z reguły nie było zbyt wielu chętnych, ale dwie, trzy osoby trafiały się niemal zawsze. Nie inaczej było i tego dnia. Jako pierwsza do sakramentu pokuty przystąpiła sześćdziesięcioletnia kobieta, której nie dawało spokoju to, iż nazwała swoją sąsiadkę, najlepszą przyjaciółkę, starą krową. I choć nie zrobiła tego w jej obecności, gryzły ją wyrzuty sumienia. Wikary zadał jej jako pokutę odmówienie pięciu różańców, a jako zadośćuczynienie wyrządzonej krzywdzie nakazał pomóc sąsiadce w zrobieniu zakupów.

Kiedy zaczął spowiadać drugą osobę, okazało się, że za kratką konfesjonału zjawiała się owa sąsiadka, nazwana przez poprzednią penitentkę starą krową. Nawet by się w tym nie zorientował, gdyby nie to, że ta kobieta wyspowiadała się z identycznego grzechu. Z tym małym wyjątkiem, że przyjaciółkę wyzywała w obecności swojego męża. Nakazał jej taką samą pokutę i, z uśmiechem na ustach, odprawił ją. Gdy zapukał trzy razy w ścianę konfesjonału, kobieta powiedziała „Bóg zapłać”, wstała i poszła do ławki, tej samej, w której siedziała jej przyjaciółka. Ponieważ do mszy zostało jeszcze kilka minut, obie wyciągnęły różańce i się modliły. Widząc to, ksiądz Sambor uśmiechnął się szeroko, nie zauważywszy, że miejsce po drugiej stronie kratki konfesjonału zajął ktoś nowy. Dopiero gdy usłyszał „Szczęść Boże”, odwrócił głowę.

- Szczęść Boże – odpowiedział machinalnie.
- Pobłogosław mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem.
- Słucham, synu – uśmiechnął się, wciąż patrząc kątem oka na ławkę, w której modliły się starsze panie.
- Zamordowałem dziecko, proszę księdza.